



**You have downloaded a document from
RE-BUS
repository of the University of Silesia in Katowice**

Title: "American dream" Jacka Podsiadły

Author: Mariusz Jochemczyk

Citation style: Jochemczyk Mariusz. (2014). "American dream" Jacka Podsiadły. W: B. Nowacka, B. Szałast-Rogowska (red.), "Literatura polska obu Ameryk : studia i szkice. Ser. 1" (S. 377-390). Katowice : Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego



Uznanie autorstwa - Użycie niekomercyjne - Bez utworów zależnych Polska - Licencja ta zezwala na rozpowszechnianie, przedstawianie i wykonywanie utworu jedynie w celach niekomercyjnych oraz pod warunkiem zachowania go w oryginalnej postaci (nie tworzenia utworów zależnych).



UNIWERSYTET ŚLĄSKI
W KATOWICACH



Biblioteka
Uniwersytetu Śląskiego



Ministerstwo Nauki
i Szkolnictwa Wyższego

Mariusz Jochemczyk

Uniwersytet Śląski

*American dream Jacka Podsiadły**

[...] fascynuj mnie, Ameryko.

Jacek Podsiadło: inc. „Dobre lata siedemdziesiąte”

Dobrze byłoby też wyjechać do Stanów.

Jacek Podsiadło: *Zatrzymany do wyjaśnienia*

Stany, Stany — hajowa jazda...

„Zawsze już będę wędrował do jakiejś Ameryki” — oto swoiste *credo* poetyckie twórcy, o którym chciałbym tutaj mówić. Deklaracji tej nie osłabia nawet użyty w funkcji epitetowej zaimek nieokreślony: poszukiwana będzie przecież w tej poezji zawsze jakaś wersja wciąż tej samej Ameryki — mitycznej enklawy „Chlebem i Wolnością” (WZ-1, s. 236¹) płynącej, pożądanej przez tylu odmieńców i wyrzutków zamorskiej Ziemi Obiecanej, solarnej krainy skąpanej w promieniach słońca, przeglądającego się w perspektywie coraz bardziej oddległego (niegdyś Dzikiego) Zachodu. Użyta akwaticzna metaforyka wolnościowego „pływu”, „zamorskiego” lądu i solarnej „kąpieli” nie stanowi tu zwykłego stylistycznego ozdobnika — wszak falisty ruch, łagodny przepływ czy życiodajne fluktuacje macierzyńskich energii w przypadku tekstów Podsiadły kojarzyć się będą nieodmiennie z regresywnym powrotem do — jeśli można poigrać słowami — „zjednoczonego stanu” dziecięcej, przedustawnej, arkadyjskiej błogości:

* Tekst był publikowany pod tytułem: „Dobrze byłoby też wyjechać do Stanów”. (*Dwie?*) *Ameryki Jacka Podsiadły*. „Białostockie Studia Literaturoznawcze” [Uniwersytet w Białymstoku] 2012, nr 3, s. 127–140.

¹ J. PODSIADŁO: *Wiersze zebrane*. T. 1–2. Warszawa 1998. Na oznaczenie poszczególnych tomów stosuję skróty WZ-1 i WZ-2, cytaty lokalizuję bezpośrednio w tekście.

[...] Nad Wielkimi Jeziorami mojej wyobraźni
ludzie mają złote serca, rzeki płyną mlekiem.

WZ-1, s. 237

Jeśli przyjąć, iż owe *united states of felicity* dobrze definiują odległe czasy dzieciństwa i wczesnej młodości (w planie historii osobistej możemy mówić o wywołanych mottem: „dobrych latach siedemdziesiątych” — WZ-1, s. 236) — to jankeska fantazja, westernowa etyka i wolnościowy portret mieszkańców nieobjętej prerii chronią skutecznie „Wielkie Jeziora” dziecięcej wyobraźni przed „bladą twarzą” peerelowskiej rzeczywistości:

Wsparty o strzelbę Daniel Boone czuwał pod poduszką
nad moimi snami, rano zostawiałem go w obozowisku i zamiast do szkoły
wybierałem się na łowy, zwykle polując na jabłka
w sadzie obok plebanii. Nie przerażały mnie blade twarze
Gierka i Jaroszewicza na ekranie telewizyjnym,
plemiona zjednoczone przez Tecumseha, z którym co wieczór
siadałem przy ognisku rozpalanym z worków po cemencie,
w każdej chwili gotowe były na mój rozkaz wykopać topór wojny.
Dopiero po kilku latach zauważyłem, że słowa „czerwony brat”
brzmiały w ustach dorosłych ironicznie, ale nawet
„Solidarność” wydawała mi się z początku czymś w rodzaju
Sprzysiężenia Czarnej Wydry, a Andy Warhol do dziś
kojarzy mi się z warchołami z Radomia i Ursusa.

WZ-1, s. 236

Nawet przechowane w pamięci klasyczne melodie i słowa amerykańskich pieśni² zyskują (modelowane stereotypowymi obrazami) lokalnie uproszczone translacje (w poniższym przypadku: o meteorologiczno-florystycznym „nachyleniu”), wersje zmieniające zasadniczo pesymistyczne wydźwięki oryginałów:

[...] Moja siostrzenica w bananowej spódnicy
od rana do wieczora nuciła przebój „Nigdy ponoć deszcz nie pada
w Kalifornii, to banany lecą z nieba tak jak deszcz,
[...]”.

WZ-1, s. 236

² W tym przypadku Podsiadło sięga po fragment popularnej w latach osiemdziesiątych w Polsce przeróbki słynnej amerykańskiej piosenki. Zupełnie dowolnej parafrazy poddano wówczas przebój Alberta Hammonda i Mike’a Hazelwooda (*It Never Rains in Southern California*), utwór o niekoniecznie radosnym przesłaniu.

Choć współczesny, utrwalony w sparafrazowanej wersji pieśni (cytowanej przez poetę) popkulturowy mit Ameryki każe widzieć w niej³ nowy biblijny Kanaan, ziemię, na którą spada słodki deszcz „bananowej manny”, to jednak Podsiadły ma pełną świadomość bezpowrotnej utraty kluczy do królestwa „ludzi o złotych sercach”, mieszkających nad rozlewnymi „rzekami płynącymi mlekiem”. Wie, iż nigdy nie znajdzie „szlaku wiodącego / z powrotem na tamte prerie” (WZ-1, s. 236). Wszak „czatownie i wigwamy, do których nie umie już wrócić” (WZ-1, s. 236), stoją puste. Wyprowadzili się z nich dawni szlachetni mieszkańcy kontynentu: Ralph Waldo Emerson i Henry David Thoreau, Tecumseh i Siedzący Byk, Daniel Boone i Thomas Jefferson.

Zerwanie duchowej wspólnoty z tymi, którzy stanowili o sile amerykańskiego etosu: lojalności, odwagi, honoru, krytycznego myślenia i obywatelskiego nieposłuszeństwa (etosu utrwalonego emocjonalnie w prywatnym doświadczeniu poety — nieomalże z tą samą siłą! — przez młodzieńcze lektury Jamesa Fenimore’a Coopera i romantycznych transcendentalistów), należy zapisać po stronie tyleż win indywidualnych, co wspólnotowych zaniedbań większości ludzi europejskiego Zachodu.

I właśnie ten swoisty wyrzut sumienia rządzi dosyć silnie wyobraźnią poety, która żyje (jeśli tak można powiedzieć) „pod dyktando” owej przewiny — inspirowana jest i kierowana czymś, co można by nazwać permanentną fascynacją *the American way of life*.

Ślady owej wyobraźniowej marszruty znaczą karty wielu wierszy „Jacka Po” i układają się w najróżniejsze porządki sensów. Dość łatwo też wypreparować sekwencje takich wiązek znaczeniowych, budujących życiowe rytmy lirycznego gospodarza przywołanych za chwilę utworów: światy jego lektur i fascynacji muzycznych, znaki ideologicznych wyborów i trajektorie — takich a nie innych — preferencji politycznych, rankingi ulubionych filmów i wskazania miejsc, do których warto uciec (lub do których należy pielgrzymować). Wreszcie — *last but not least* — także rysowane w poezji zręby prywatnej filozofii Drogi i osobiste fragmenty miłosnego dyskursu nie wymykają się naszkicowanej przed chwilą wyobraźniowej „skazie”⁴.

Zacznijmy od rozpoznań najprostszych — temporalnych. Nieprzypadkowy wydaje się (dajmy na to) fakt, iż dobowe rytmy życiowych zatrudnień wierszowego protagonisty animuje od samego rana „wrzask / Jima Morrisona” za-

³ Przynajmniej tuż przed przełomem roku 1989, jaki miał miejsce w Europie Środkowo-Wschodniej. Wtedy USA jawiły się jeszcze — w szeroko pojętej opinii publicznej tamtej części świata — jako kraj bezkrytycznej tęsknoty i „ślepej miłości” (cytowana fraza pochodzi z wiersza, który datowany jest na 17–18 kwietnia 1989 roku).

⁴ Wypada zauważyć, iż pisane wielką literą słowa Droga i Miłość to dwa podstawowe „zaklęcia” tej poezji. Szerzej kwestię analizuje Piotr ŚLIWIŃSKI: *Przygody z wolnością. Uwagi o poezji współczesnej*. Kraków 2002, s. 154–156.

wieszony „na jednej z radiowych częstotliwości” (WZ-2, s. 244). Także o „szóstej rano, fioletowym brzaskiem” (WZ-2, s. 244), choć już w innym porządku tomikowych kompozycji, rozpoczyna bohater boski (pierwszy) dzień tygodnia od wypicia świątecznego cudownego eliksiru — „herbaty mocnej jak przęśła Golden Gate” (WZ-1, s. 89). Towarzyszy temu swoiste „słowo na niedzielę”, gnomiczne przytoczenie przybierające kształt (oczywisty patronat Jima Jarmuscha) uwagi o roli *tea and cigarettes* w procesie twórczego przyrostu „wierszy / typu »robię to i tamto« [...]” — artefaktów powstałych z ducha nowojorskiej szkoły poetów (WZ-1, s. 89).

O ile fioletowy brzask poranka witają wrzaskliwe melodie Jima Morrisona, o tyle „nocne strażę” tej poezji nadchodzą zwykle w rytmie Tańca Ducha, powoływanego do życia magnetycznym głosem mieszkanki⁵ — innego nowojorskiego adresu — widmowego Chelsea Hotel (WZ-1, s. 305) lub przy akompaniamencie kolejnego akustycznego „patrona” tej poezji, Boba Dylana. Instruktażowe jest w tym względzie inicjalne wyznanie autorskiego podmiotu jednego z wczesnych wierszy, podmiotu, który „jadąc pociągiem przytulony do szyby / zaciągniętej fioletową chustą nocy”, rozmyśla ekumenicznie („przy muzyce Dylana oszukującej głód / jak umierająca postępować z nędzarzem ladacznica”) zarówno o Przyjaciółach, jak i o „wierszach Snydera Brautigana i Patteny” (WZ-1, s. 223).

Świadomy, iż „Świat kręci się w przeciwną stronę / niż stare płyty Dylana”, a dorastające dzieci późnej nowoczesności „chcą [już tylko — M.J.] muzyki pop” (WZ-1, s. 199), mierzy tętno upływających dni i lat inną akustyczną miarą: „Śpiewam w duecie z Lindą Ronstad smutną hiszpańską balladę” (WZ-2, s. 13), łowi uchem sferyczne pienia „osobliwych, przyjaznych i rozpuszczalnych” (WZ-1, s. 92) aniołów — eterycznych kantorów z pieśni Laurie Anderson, starannie śledzi frazy „coraz smutniejszych” protest songów Tracy Chapman. I choć różni tylko „pojedyncze słowa *the dream of America* albo *suicide*” (WZ-2, s. 288), to ich wydestylowana radykalną selekcją moc zaświadcza o równie radykalnym profilu psychologicznym słuchacza⁶.

Zauważmy, iż dominacja amerykańskiej „audiosfery” w prywatno-poetyckim świecie Jacka Podsiadły nie podlega najmniejszej dyskusji. Osobisty metronom poety zawsze odmierza ten sam mocny rytm: jest precyzyjnym mechanizmem zegarowym, wybijającym upływ poszczególnych godzin i dni na jedną i tę samą nastrojoną anglosaską nutę. Dałoby się zresztą wspomnianą obserwację wyzyskać i w odmiennym, rozszerzającym kontekście. Wydaje się bowiem, iż podobnym prawom (nazwijmy je: „dyskretnej semantyzacji”) pod-

⁵ Chodzi oczywiście o Patti Smith, dyskretną „towarzyszkę” wielu lirycznych sytuacji aranżowanych przez autora *To all the whales I'd love before*.

⁶ Radykalizm ów wspiera deklarowana jawnie (WZ-1, s. 82) miłość do głosu oraz „bojowej”, emancypacyjnej sztuki uprawianej przez Chapman.

lega także kreowana przez Podsiadłą poetycka przestrzeń. Można by w takim wypadku mówić o względnie jednolitym chronotopie lirycznym, zbudowanym na trwałych i solidnych „topograficznych fundamentach”, gdzie takie geograficzne obszary węzłowe, jak: Kalifornia, Hollywood, Floryda, Nowy Jork, Wielkie Jeziora, ogromne połacie Midwestu czy upalna Arizona, stanowić będą już to kartograficzne refleksy dobrostanu, już to optymalne wzorce gospodarowania przestrzenią, stanowiące gorzki wyrzut dla zdegradowanego zasobu przaisnej polskiej rzeczywistości.

I dzieje się tak nie tylko wtedy, gdy tęsknota dyktuje pocie cokolwiek pretenjonalne listy do wymaginowanej kochanki (Anny Marii), gdy każe pieczętować je stemplem miłosnej poczty nad brzegami Missouri, by finalnie wszystko przywdziać w nieco przetarty kostium szamańskiej egzaltacji:

Tak, kiedy jesteś daleko, jestem Indianinem
z plemienia Huichol albo Choctaw, który wysysa miąższ
z kaktusów peyotl albo tańczy w ekstazie tęsknoty
przebrany za niedźwiedzia, i modłę się do słońca,
by nas nie opuszczało.
Niebo staje się czarne.
Czarne są resztki kawy na dnie filiżanki.
Tak samo czarne są herbaciane fusy na dnie nadpękniętej szklanki.
To jest moja Missouri, moja Rio Grande.

WZ-1, s. 391–392

Ani także wtedy, gdy w akcie egzystencjalnej rezygnacji wołałby matecznikiem obolałego życia uczynić po równo: dziewicze okolice Rzeki Czerwonej i malownicze brzegi Winnipeg — krainy bardzo przyjaznej komuś, kto „w dupie ma państwowe mienie” i „pilnuje przede wszystkim siebie” (WZ-1, s. 356). W każdym razie mowa będzie o ziemi bardziej przyjaznej niż okupowana dla zarobku stróżówka w jakimś nieznośnie nudnym polskim mieście (WZ-1, s. 357).

Praca poetyckiej wyobraźni Podsiadły ma jednak o wiele większy rozmach, niż mogłyby o tym świadczyć dwa przytoczone przykłady. „Amerykański chronotop” przetwarza i moderuje — jeśli tak można powiedzieć — całe połacie rodzimej rzeczywistości i pozwala widzieć ją w zupełnie nieoczekiwanych wariantach zjawień.

Oto kilka przykładowych metamorficznych ujęć lokalnego kontinuum czasoprzestrzennego, gdzie nawet apolityczny z pozoru „błękit nieba był tak nasycony sobą, że mogłyby kandydować / do fotela prezydenta Stanów Zjednoczonych” (WZ-1, s. 186). Innym razem „wróbel lądujący na betonie” w upalne południe „zerka z ukosa” niczym Whartonowski „Birdy w ostatnim wcieleniu” (WZ-1, s. 229). Czasem krzycząca pod oknem czteropiętrowego bloku (echo

dopowiada Koheletowe zaklęcia) mała dziewczynka ma „w swej twarzy coś z / Jane Fondy w pewnym westernie” (WZ-1, s. 196). Innym razem tylko pomniejszona dawka alkoholu nie pozwala protagoniście wiersza *Pijalnia piwa* dostrzec w kanadyjkarzu „klęczącym na jednym kolanie” i płynącym dziarsko w nurtach Wisły Indianina ze szczepu Ottawa prującego „spokojne wody jeziora Erie dziobem wydłubanego w pniu canoe” (WZ-1, s. 230). Choć już „grupę tubylców” koczującą „przed blokiem, na plastikowych krzesłach, / w cieniu pojedynczego drzewa, przy grillu” rozszyfruje nieomylnie jako „ponurą karykaturę obozu pod gołym niebem Szoszonów”⁷.

Właściwie liryczny podmiot tych wierszy — bez względu na to, w jakim miejscu poetycznej sceny aktualnie się znajduje — wciąż od nowa indagowany jest przez łagodnie mrugające jankeskie znaki. Zmysły podmiotu atakuje zarówno: dyskretnie złożona na politurze telewizyjnego odbiornika „pocztówka z Chaplinem” (WZ-2, s. 355), nudny film z Seanem Connerym i Michaeliem Cainem (WZ-1, s. 385), jak i klasyczny „amerykański wyciskacz łez” à la *Sprawa Kramerów* (WZ-1, s. 250). Podmiot nie może — nawet gdyby bardzo tego chciał — wyrugować ze swego świata łatwo wyczuwalnej pokoleniowej słabości. Wciąż (na nowo!) zafascynowany jest:

szaleństwem Kerouaka latającego jeansy kolejnymi fragmentami
powieści pisanych na kolanie, chudą sylwetką Jodie Foster
walcem drogowym miażdżącym płyty Cata Stevensa,
strzałką szybkościomierza wskazującego ponad sto mil na
godzinę, której nie przeżyje
zakochany James Dean z wbitą między żebra kierownicą,
łobuzerską twarzyczką Jackie Coogana,
kiedy ciska kamieniami w szyby a na widok policjanta pryska
jak mit.

WZ-1, s. 236–237

Jego ulotny, tomikowy żywot znaczy tyleż nieklamany podziw dla Jesse Jamesa, Willy’ego Boya i Roya Rogersa (por. WZ-1, s. 218; WZ-1, s. 227; WZ-2, s. 358), co litanijna troska o los anonimowego taksówkarza „z Pittsburga który strzelał do ludzi na ulicy” (WZ-1, s. 287). Charakteryzuje go zarówno bezkry-

⁷ Cytowany fragment wiersza o inc. „Wstałem o piątej” pochodzi z wydanego w roku 1999 tomu *Wychwył Grahama*. Por. J. PODSIADŁO: *Wiersze zebrane*. Wyd. 2. uzup. Warszawa 2003, s. 340. Dodajmy na marginesie, iż nader intrygującą wykładnię wielu możliwych tekstowych autoprezentacji i masek „ja” w kontekście (i linearnym, wersowym następstwie) przywołanego fragmentu „indiańskiego” obrazka rodzajowego daje Joanna ORSKA w swym studium *Sezon na leszcza. Autentyk w poezji Jacka Podsiadły*. W: EADEM: *Liryczne narracje. Nowe tendencje w poezji polskiej 1989–2006*. Kraków 2006, s. 47–48.

tyczna miłość do pacyfistycznego stylu życia właściwego Jamajce i Kalifornii — dwóm irenistycznym republikom, dwóm zbuntowanym siostronom, które „nie straciły na wojnie nikogo” (WZ-1, s. 146), jak i niesłabnąca admiraacja dla „ckliwej brutalności” i „mdłej flegmy” (WZ-1, s. 227), bohaterских stróżów prawa spod znaku inspektora Harry’ego Callahana.

To subtelny czytelnik anglosaskiej literatury, znawca pism Cummingsa, Steinbecka, Snydera, Brautigana, Keseya, Pynchona, Blya, ale także: programowy abnegat, surowy naturszczyk, „martwy” — dla kochającego życie filistra — outsider. To ktoś, kto od lat z olimpijskim spokojem uprawia jakże dziwaczny „dwubój klasyczny: / czytanie wierszy Jeffersa i leżenie trupem” (WZ-2, s. 247).

I właściwie można by w tym miejscu obojętnie wzruszyć ramionami. Cóż bowiem wynika z zaprezentowanych lirycznych wypisów, czego nie zauważyłaby już wcześniej literacka krytyka⁸? Że dopokąd „amerykańskiego perkalu” staje — w najlepsze tka się nieprzychylna mieszczańskiemu myśleniu opowieść spóźnionego bitnika? Że usytuowanie wierszowego protagonisty w „świecie położonym między kontrkulturą a kulturą masową” nie sprzyja „kulturowaniu i pogłębianiu własnej pojedynczości” oraz „duchowości”⁹?

Cóż wreszcie odkrywczego w praktyce poetyckiego tasowania i łączenia efektownych „klisz i kalek” wypreparowanych przez zamorskie massmedia, a utrwalonych mocno w wyobraźni zbiorowego konsumenta i po tej stronie oceanu? Czy „amerykański sen” Jacka Podsiadły to coś więcej niż tylko kolażowe projekcje zblazowanego (oraz kwestionującego zastane, kanoniczne dystynkcje) uczestnika nastawionej już tylko na ludyczną zabawę ponowoczesnej ideo-sfery? Retoryczność czterech pierwszych interrogacji nie wymaga stanowczej odpowiedzi. Na ostatnie z postawionych pytań negatywnie replikuje Stanisław Stabro w swym syntetycznym artykule opisującym kontrkulturowe fascynacje poety:

⁸ O związkach poezji Jacka Podsiadły (a także: całego pokolenia „bruLionu”) z szeroko pojętą tradycją — szczególnie angloamerykańską — pisano wiele. Por. J. KLEJNOCKI, J. SOSNOWSKI: *Chwilowe zawieszenie broni. O twórczości tzw. pokolenia „bruLionu” (1986–1996)*. Warszawa 1996, s. 133, 136–141. Warto przypomnieć też uwagi Pawła Marcinkiewicza o Podsiadłowym „etapie parafrazy”, kiedy to poeta ze szczególnym zapalem przyswajał zdobycze amerykańskiej poezji lat sześćdziesiątych i brytyjskiej *pop poetry*. Zob. P. MARCINKIEWICZ: *I ja pobiegłem w tę mgłę: o poezji Jacka Podsiadły*. W: J. PODSIADŁO: *I ja pobiegłem w tę mgłę*. Kraków 2000, s. 5. O roli „starych poetów” (Whitman, Lindsay, Sandburg, Frost) i wpływie tradycji „beat generation”, a także „szkoły nowojorskiej” na poetycką dykcję Podsiadły pisał swego czasu Piotr BRATKOWSKI: *Pion odzyskany*. „Gazeta Wyborcza” z dnia 24 października 2000, dodatek „Książki”, s. 7. Wreszcie na związki poezji Podsiadły z „anglosaską tradycją liryczną” i muzyczną (rock, jazz) wskazywał Karol MALISZEWSKI w swojej książce *Nowa poezja polska 1989–1999. Rozważania i uwagi*. Wrocław 2005, s. 19.

⁹ M. STALA: *Nowi skamandryci*. „bruLion” 1990, nr 16, s. 27.

Chcąc wyrazić bunt wobec kanonów kultury wysokiej stosuje Podsiadło poetycką technikę „kulturowego synkretyzmu”, w ramach której wartości z różnych poziomów kultury brane są przez niego w postmodernistyczny nawias. W *Obecnym nieobecnym* na przykład Pocahontas, bohaterka kultury masowej, sąsiaduje z van Gogiem, Alice Lidell z Janis Joplin, a podmiot liryczny, disc jockey „w nie bardzo podłym mieście” przeprowadza wywiad z Maksymilianem Kolbe w komorze śmierci i stoi ze Stachurą „przed słońcem na kolanach”¹⁰.

Fakt radosnego (tekstowego) zbratania Pocahontas, Myszkki Miki i Kaczora Donalda z luminarzami światowej kultury sprawia, że wspomniany przez Stabrę „postmodernistyczny nawias” wydaje się na tyle „szeroki”, iż łączyć może właściwie wszystko ze wszystkim. Trudno mieć zatem pretensje do poety o to, że pisze wiersze, w których rezolutne mupety i smerfy siedzą zgodnie na kolanach — powiedzmy — Richarda Brautigana. Trudno czynić z tego zarzut przedstawicielowi „pop-poezji” „adresowanej do nowej już generacji, której obce są mitologie narodowych powstań i etos antykomunistyczny [...] Taka publiczność nie znosi patosu, ani — jak należy wnioskować — dydaktyzmu”¹¹.

Nie znosi zatem karmionej patosem i dydaktyzmem — nudy. Wyobraźnią symboliczną „nowej generacji” rządzi wszak inna struktura, sterowana (wypracowaną naprędce) gramatyką odmiennie zarządzanych fraz i obrazów — uformowanych w dużej mierze przez McŚwiat¹², dla którego język angielski jest nie tylko prostym wehikułem komunikacji, lecz także rezerwuarem fraz, metafor, tematów, inspiracji: nieomal nową *lingua latina*. Staje się też — przede wszystkim w kontekście literackim — „mową młodego pokolenia, szyfrem wolności i niezależności gwarantującym wyjście poza zastane układy literackie i społeczne, poza odwieczną, uzależnioną od społeczno-politycznego kontekstu, problematykę polskiej poezji”¹³.

Zresztą konieczność radykalnego wyjścia „poza zastane układy”, nakaz „zerwania z powinnościami poezji wobec spraw publicznych”¹⁴, imperatyw ozdrowieńczej alienacji i przymus poszukiwania wciąż nowego języka wyrazu — oto *credo* życiowe i twórcze samego Podsiadły. Oddajmy jeszcze raz głos Legeżyńskiej:

¹⁰ S. STABRO: *Związki liryki Jacka Podsiadły z tradycją kontrkultury*. W: *Literatura polska 1990–2000*. Red. T. CIEŚLAK i K. PIETRZYCH. T. 1. Kraków 2002, s. 266.

¹¹ A. LEGEŻYŃSKA: *Krytyk jako domokrażca. Lekcje literatury z lat 90*. Poznań 2002, s. 165.

¹² Termin wprowadzony przez Benjamina R. BARBERA w jego książce *Dżihad kontra McŚwiat* (Warszawa 2000).

¹³ K. MALISZEWSKI: *Nowa poezja polska 1989–1999...*, s. 19.

¹⁴ D. PAWELEC: *Debiuty i powroty. Czytanie z czasu przełomu*. Katowice 1998, s. 156.

Historia, polityka, społeczeństwo są w jego wierszach wypełnione zupełnie inną treścią niż w poezji nowofalowej. Historia pęcznieje od absurdu, polityka pasie władców żertwą upodlonych poborowych i „poetów w namiotach wojaskowych”, społeczeństwo zaś oplakuje pomordowanych w obozach koncentracyjnych współbraci, lecz dopuszcza, by stypa trwała nad kotłem z zabitego zwierzęcia [...]. W źle urządzonym świecie uczestniczyć nie można. Trzeba wypowiedzieć mu posłuszeństwo, zbuntować się, wieść żywot „hipisa” stróżującego na budowach, lecz przecież mającego swoją „amerykę”: złożoną z kilku tysięcy napisanych wierszy, piosenek Dylana i paru innych świetnych poetów, marihuany, herbaty, alkoholu, przyjaciół¹⁵.

I wielu dodatkowych zamorskich gadżetów — chciałoby się dopowiedzieć. O ile jednak prywatna „ameryka” Podsiadły — ta pisana przez małe „a” — zyskała spore grono życzliwych, eksplorujących ją monografistów i kronikarzy, o tyle ta druga (równie osobista i osobliwa, nazwijmy ją: Duchowa) pozostaje właściwie nieodkryta bądź — w najlepszym wypadku — mało znana. Sprawia spory kłopot — wymaga wiedzy kontekstowej i nieomal modlitewnego skupienia. Pisało o niej właściwie tylko dwoje ludzi: Wojciech Kuczok i Marta Skwara¹⁶.

Cisówka — polski Walden?

Rzecz dotyczy szczególnego patronatu, jaki sprawuje nad tą twórczością Henry David Thoreau — wybitny amerykański myśliciel i samotnik, romantyczny „państwowiec” i pragmatyczny romantyk, ekozof i wizjoner. Podsiadło składa mu szczególny hołd w sumującym „thoreauańskie poszukiwania” zbiorze wierszy i opowiadań, zatytułowanym *Cisówka*¹⁷. Nawiązując do dwuletniego pobytu Mistrza, pozostającego w samowolnym odosobnieniu nad stawem Walden, zdaje Podsiadło relację z kilkutygodniowego pobytu własnego (i bliskich) w podlaskiej, położonej niedaleko Zalewu Siemianowskiego, Cisówce.

¹⁵ A. LEGEŻYŃSKA: *Krytyk jako domokrażca...*, s. 164–165.

¹⁶ W. KUCZOK: *Cisówka, czyli życie w lesie*. „FA-art” 1999, nr 4, s. 73–75; M. SKWARA: *Jacek Podsiadło pisze, a potem drze na strzępy list do Henry’ego Davida Thoreau*. W: *Literatura polska 1990–2000...*, s. 280–295. Co ciekawe — oba przywołane głosy pozostają w diametralnej sprzeczności: dla Kuczoka tom Podsiadły pozostaje literackim wydarzeniem, dla Skwary to „świadczenie nieudolności poetyckiej”, dowód „wyczerpania starych chwytów, podkradania cudzych pomysłów ” (s. 295).

¹⁷ Por. J. PODSIADŁO: *Cisówka. Wiersze, opowiadania*. Białystok 1999. W dalszej części szkicu utworzy z tego zbioru oznaczam skrótem C i odpowiednim numerem strony.

Szczególny patronat „miejsca i czasu” wydaje się pełnić rolę nadrzędną w kompozycji tomu. Partytura precyzyjnie kolejno oznaczanych datami majowych dni roku 1995 podkreśla dziennikowy, medytacyjny (jak w przypadku tekstu Thoreau) charakter wypowiedzi. W planie osobistym można mówić o dominacji czasu innego, sakralnego: wpływ kolejnych godzin przybliża moment rozwiązania i przyjścia na świat pierwotnego syna poety, Dawida. Ale i miejsce na swą „kwarantannę anty-cywilizacyjną”¹⁸ wybiera Podsiadło starannie i z pietyzmem. Zamieszkuje na skraju „słowiańskiej zadrugi” — niewielkiego przysiółka, posadowionego w sąsiedztwie lasów i bagien górnej Narwi, w sercu dziewiczych terenów graniczących z Białorusią. Niezwykłość tego miejsca osobnego, które przybysz musi dopiero wypełnić żywą egzystencją, mądrze zagospodarować rozumnym istnieniem, zdaje się przemawiać do nas (zgodnie z zamysłem poety) szybciej niż słowo: językiem autorskiej, dokumentarnej fotografii. Ascetyzm tego (celuloidowo wypreparowanego) „ubocznego świata” nie kończy się na formalno-graficznej stronie projektu. Surowe korpusy uwiecznionych na zdjęciach lokalnych chat wsparte są — jeśli tak można powiedzieć — na równie ascetycznych, „etycznie surowych” fundamentach. O ile „donikąd prowadzą nasze pasáže i trotuary, posrebrzane ciągi / rur, liczb, światel, pięter, wiaduktów, obwodnic i słów” (C, s. 5), o tyle „dwuchromatyczny” świat Cisówki reguluje prosta podwójna zasada:

każda rzecz ma swoje miejsce. I wszystko znajduje swój czas

C, s. 15

Prawa, jakimi rządzi się przysiółkowa wspólnota ludzi, nijak mają się bowiem do reguł organizujących życie „na zewnątrz”, nie przystają do trybów modelujących rytm „zasranego nowego tysiąclecia”, nadchodzącej ery,

u progu której
zardzewiały gwóźdź czeka na stopy wszystkich wchodzących

C, s. 5

Są odwiecznie niezmiennie lub dionizyjско tymczasowe, wiecznotrwałe lub „wymyślane na krótko” i uformowane w „pięciominutowe zakony” (C, s. 44), boskie lub „moje” — zdaje się mówić Podsiadło. I mówiąc to, od razu staje się krytykiem wspólnoty, którą na chwilę opuścił. Powtarza tu ewidentnie gest Thoreau. Wszak:

Jedną z idei autora *Waldenu* [...] jest przekonanie, że wspólnocie można przysłużyć się naprawdę nie z jej centrum, ale [...] z jej peryferii. Dobrze służyć wspólnocie nie ten, który żyje w jej wnętrzu i całkowicie się z nią utożsamia,

¹⁸ W. Kuczok: *Cisówka, czyli życie w lesie...*, s. 74.

ale ten, kto ma na tyle dystansu, by umieścić się na jej marginesach, spojrzeć na nią krytycznie i wytknąć jej, co trzeba. [...] Zależy mu [...] na dystansie, przestrzeni krytycznego myślenia, a nade wszystko na możliwości nieutożsamiania się z jakimikolwiek instytucjami, na które owszem jesteśmy skazani, ale którym nigdy nie powinniśmy oddawać się całkowicie¹⁹.

Można powiedzieć, iż postawa „nieutożsamiania się z jakimikolwiek instytucjami”, swoście arystokratyczne „wyniesienie” jednostki ponad doraźne dyrektywy aparatu zarządzającego tą czy inną wspólnotą, stanowi znak rozpoznawczy niepokornego ducha tych wierszy. Jak celnie zauważa jedyny recenzent tomu:

Cisówka jest nie tylko zapisem russowskich z ducha ewokacji pierwotnego zespolenia, ale aktem negacji państwa [...], w całej jego wszędobylskości absurdałnej i nieznosnie naiwnej. Napotykanie bezustannie leśniczy przypominają bohaterowi tomiku o tym, że stąpa po własności państwa; fakt zagarnięcia tych terenów „niczych, boskich” jest dla niego równie niepoważny, nieprzyjemny do wiadomości, jak gest konkwistadora, anektującego w imieniu odległego o tysiące kilometrów królestwa, bezludne połacie Amazonii²⁰.

I jako taki (gest ów) spotyka się nieodmiennie — bez względu na to, jaki przedstawiciel administracji publicznej gest ten wykonuje — z radykalnie brutalnym odporem, zawsze tym samym „cierpkim: *spierdalaj chuju*” (C, s. 10). Wulgarnie odprawia się tutaj strażnika państwowej *limes*, choć w złowrogim warknięciu funkcjonariusza: „Nie wolno przekraczać granicy” (C, s. 9), pobrzmiwa starotestamentalne surowe „rajskie” prawo zakazu: „nie będziesz”. Bo i umundurowany pogranicznik jest tu rozbrajającą karykaturą ognistego cherubina, broniącego Pierwszym Rodzicom powrotu do dziewiczego rajskiego ogrodu. Tomikowi „pierwsi rodzice” (z pierwszego opowiadania *Cisówki*) traktują dane im we władanie królestwo natury jako przestrzeń bezpiecznego zadowolenia bądź „bezlękowego” zatracenia: „szukają Drogi kierując się słońcem i intuicją”, towarzyszy im „niezastąpione uczucie / zagubienia w lesie, poczucie, że z całego świata zostaje” dojmujące doznanie pojedynczości istnienia, „przerażenie, ekstaza” (C, s. 42). Epifanijne zanurzenie w „rzece życia” jest właściwie doznaniem tego, co Thoreau nazywał *bare existence* (‘nagą egzystencją’). Tadeusz Sławek, autor znakomitej monografii sumującej duchowy dorobek myśliciela z Concorde, definiuje stan ów jako:

¹⁹ Thoreau: *wyblýsk wspólnoty*. Z Tadeuszem Sławkiem o książce „Ujmować. Henry David Thoreau i wspólnota świata” rozmawia Piotr Bogalecki. „ArtPapier” 2012, nr 21 (213). Pozyskano z: <http://artpapier.com/index.php?pid=2&cid=15&aid=2332>.

²⁰ W. Kuczek: *Cisówka, czyli życie w lesie...*, s. 75.

bytowanie ledwo wynurzające się zza horyzontu niebytu, „ledwie” i „ledwo co” istnienie, które nie obrosło we wszelkie satysfakcjonujące atrybuty stanu posiadania, ale takie, które jeszcze pamięta swój początek, dodajmy szybko — początek „nie-ludzki”. „Zrozumieć życie” musi zatem oznaczać cofnięcie się do granicy, w której ziemia, ptak i człowiek zespalają się w jednej przestrzeni оголоzenia. Aby to zrozumieć i żyć wedle takiego kursu, należy stać się człowiekiem przemienionym²¹.

Jednym z atrybutów „człowieka przemienionego” jest zaś rzadka umiejętność nawiązania przyjaznych i trwałych relacji z miejscem bytowania (nawet jeśli owo „zamieszkiwanie” miałoby czasowo krótką i kruchą postać). Pisząc o sztuce empatycznego zamieszkiwania świata, Thoreau używa w swym *Dzienniku* słowa *inhabitant*. Wedle niego,

ten, który „mieszka” [*inhabitant*], jest tym, który czuje się w danej przestrzeni „wygodnie”, w przeciwieństwie do „gościa” [*guest*] poruszającego się niezręcznie w „nie-swoim” miejscu. „Mieszkaniec” „nosi” miejsce „swobodnie i z wdziękiem” [*wears her easily and gracefully*]; „gość” natomiast obciążony jest wszystkimi przyzwyczajeniami²².

Zgodnie z dalszą wykładnią Sławka — człowiekiem przemienionym, „epifanijnym” jest

ten, kto „wślizguje się” miękko w przestrzeń, kto nie „za-mieszkuje”, lecz „w-mieszkuje się” w dane miejsce. *In-habitate* podkreśla ów płynny ruch zanurzania się w przestrzeni, niemający nic wspólnego z podbojem czy zawłaszczaniem²³.

Przeciwieństwem takiego człowieka „zadomowionego” jest — pozostaliśmy w lirycznym świecie Podsiadły — egoistycznie zawłaszczający miejsce turysta: konsument pejzażu. To ktoś, kto spacer po nawiedzanych „grądach i łęgach” traktuje jak wizytę w atrakcyjnym skansenie, jak muzealną, edukacyjną przechadzkę. Przed oczami sarkastycznie nastrojonego obserwatora:

[...] przewala się tłum holendrów czy żabojadów, godna
swoistego podziwu sotnia pejzażożerców z kamerami
polująca na wszystko ruchome: dziwonię, trzmiełojada, bydło,
gadożera, chłopą przy gnoju, ciuchcie, Lidkę z dużym brzuchem [...].

C, s. 19

²¹ T. SŁAWEK: *Ujmować. Henry David Thoreau i wspólnota świata*. Katowice 2009, s. 13.

²² Ibidem, s. 115.

²³ Ibidem.

Wielki admirał *Cisówki* — Wojciech Kuczok — zauważa celnie, iż

turystyka to [...] forma niedzielnego [...] zwiedzania natury tam, gdzie pozwolono jej pozostać sobą; zwiedzania, a więc wizytacji „eksponatów” — drzew, studni, chałup. Podsiadło czuje się u siebie w miejscu, gdzie życie pobiera czas w naturze, bez pośrednictwa funkcjonariuszy, listonoszy, czeków. Jest, a przynajmniej chce być u siebie, wobec czego nie zwiedza, raczej sam staje się eksponatem, mimowolnie (choć pamiętajmy, że i Thoreau miał gości w swojej samotni). Nie zrytualizuje; zwyczajnie — wykonuje czynności urzekające w swej prostocie, pozwalające przetrwać, ale i czerpać satysfakcję z tego, że się ponad pejzaż nie wystaje; czynności warte wiersza²⁴.

Czerpać „satysfakcję z tego, że się ponad pejzaż nie wystaje” — oto osobliwie pokorna forma jedności z istnieniem, przejaw dyskretnego pragnienia komunii z tym-co-jest. Wszak jeśli „stowarzyszenie ze światem jest mądrym uczestnictwem w codzienności”²⁵, to życie w zgodzie z poniższą dyrektywą pozwala żyć właściwie „amerykański sen” polskiego poety. Wypowiada tę dyrektywę Thoreau na kartach ósmego tomu swojego *Dziennika*:

Pragnę zawsze żyć, czerpiąc satysfakcję i natchnienie z najbardziej codziennych wydarzeń, (elementarnych) zjawisk codziennego życia²⁶.

²⁴ W. KUCZOK: *Cisówka, czyli życie w lesie...*, s. 74.

²⁵ T. SŁAWEK: *Ujmować...*, s. 55.

²⁶ Ibidem.

Mariusz Jochemczyk

Jacek Podsiadło's *American Dream*

Abstract

The paper examines the links and affinities of Jacek Podsiadło's work with broadly understood American literary and cultural tradition. Podsiadło's eponymous "dream" has two aspects: on the one hand, a fascination with the profusion of formulas and stereotypes, characteristic of American pop culture (popular literature, comics, music, film, cartoons) and, on the other, a deep preoccupation with the spiritual and mystical strains of the radical "philosophy of life" embodied in the thought of the eminent Transcendentalist from Concord — Henry David Thoreau.

Mariusz Jochemczyk

L'American dream di Jacek Podsiadło

Sommario

Nel presente lavoro sono delineati i legami e le relazioni che uniscono la scrittura di Jacek Podsiadło alla tradizione letteraria e alla cultura americana in senso lato. Il “sogno” del poeta passa attraverso due “fasi” caratteristiche: il fascino delle trame ricche e dei cliché, propri dell’ampio universum della popcultura americana (letteratura popolare, fumetto, musica, film, cartoni animati) nonché della profonda saturazione dei contenuti spirituali e mistici della filosofia di vita radicale, incarnata nel pensiero del noto trascendentalista di Concord — Henry David Thoreau.